

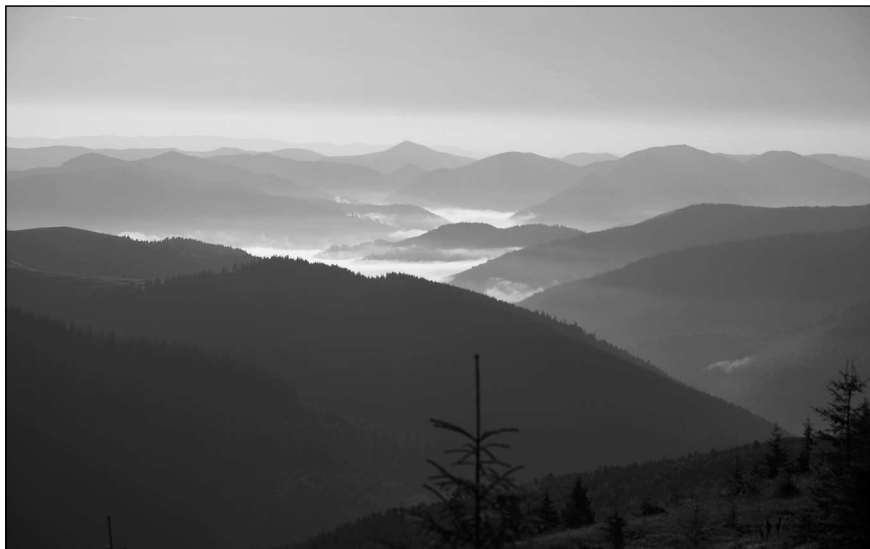


ANDRZEJ WIELOCHA

Przez Hostowce i Furatyki śladami Jerzego Stempowskiego

Kilka lat temu wędrowaliśmy z żoną płajem, który mógłby być jednym z ulubionych płajów Jerzego Stempowskiego. Prowadził z Hryniawy na południe, grzbietem biegnącym pomiędzy dolinami Hramitnego i Białego Czeremoszu. Pierwszej nocy namiot rozbiliśmy na rozległej polanie grzbietowej, poniżej której istniało niegdyś składające się z kilku zagród osiedle Borzołewej. Teraz została z niego jedna, obrosnięta pokrzywami po dranicowy dach, opuszczona chata. Następnego dnia mijaliśmy kolejne, bardzo już zarastające młodym lasem połoniny — Czarną, Niżną, Hromowicę i Doszynę, by zanoćować pod kulminacją grzbietu Pnewia, przy jednym ze źródeł Hostowca. Jego rozłożoną u naszych stóp dolinę aż po ujście do Białego Czeremoszu wypełniły wieczorne mgły, nad którym widoczne były kolejne grzbiety Karpat Bukowińskich. Przez cały dzień nie spotkaliśmy nikogo. Gąsiorowski pisał w swoim przewodniku, że z Pnewia ku wschodowi mamy „widok na sielankową krainę z porozrzucanymi po stokach zagrodami przysiółka Hostowce, wśród łąk, a nawet poletek ornych”. Teraz nie było widać stąd ani jednego dachu czy choćby stogu siana. W promieniach zachodzącego słońca góry sięgały po horyzont i w nim tonęły bezgłośnie. Dominowała pustka, cisza i... samotność wędrowca.

Widok z grzbietu Pnewia na południe i zachód jest jeszcze rozleglejszy, można rzec — karpacki ocean (fot. kolor. IX). W dole pod nami rozpościera się wąwóz Czarne Czeremoszu, nad którym rozłożyły się poorane jego dopływami Góry Czywczyńskie z dominantą wysuniętego w naszą stronę Czywczyna i przyciągającym wzrok potężnym, przypominającym gigantycznego wiewiórki cielskiem Palenicy. Za nimi reszta Karpat Marmaroskich od Farcăuła, przez Pietrosa Budyjowskiego, aż po Toroiağę i Kreczele. Jeszcze dalej skaliste szczyty Gór Rodniańskich widoczne w całej okazałości, od Pietrosula aż po wystający znad Palenicy charakterystyczny róg Ineula. Na północnym zachodzie panoramę zamyka czarnohorski Pop Iwan z jego trabantami. W takim miejscu,

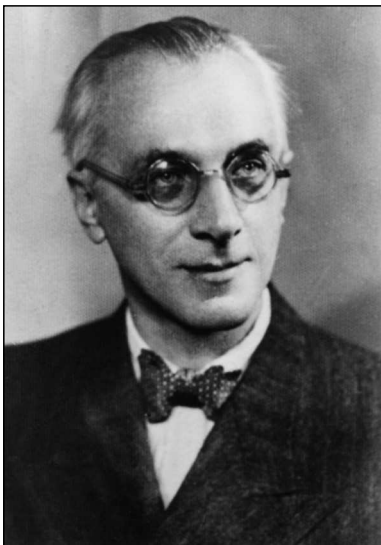


Mgły nad doliną Hostowca (fot. A. Wielocha)

jak to, można się w górach zakochać na całe życie. W takim miejscu chciałoby się zostać na dłużej, może na zawsze? Czy o nim myślał Stempowski, pisząc o „niezmierzonej samotności Karpat”?

* * *

Jerzy Stempowski (1893–1969), jeden z najwybitniejszych polskich eseistów, epistolograf i krytyk literacki, używał różnych pseudonimów, w tym co najmniej czterech pochodzących od huculskich toponimów — Paweł Hostowiec, Jerzy Grahit, Jerzy Łysina i Leon Furatyk. Grahit (1473 m) i Łysina Kosmacka (1466 m) to szczyty w Beskidzie Huculskim, w zasięgu jednodniowej wycieczki z często przez niego odwiedzanej Słobody Rungurskiej. Furatyk (1526 m) to wierzchołek w Górach Czywczyńskich pomiędzy Łedeskułem od południa i Kiernicznym od północy. Najciekawszy i najbardziej tajemniczy jest jednak Hostowiec. Pseudonimu Paweł Hostowiec po raz pierwszy użył Stempowski bodajże już w 1941 r., pisząc do wydanej przez Mieczysława Grydzewskiego antologii *Kraj lat dzieciennych* esej zatytułowany „W dolinie Dniestru”. A potem używał go stale we współpracy z paryską „Kulturą” trwającej przez blisko ćwierć wieku. Tymon Terlecki zgaduje, że mógł on powstać z połączenia ukraińskiego słowa *hostec* (gospodarz) z polską końcówką. Chyba jednak nietrafnie. Biografowie



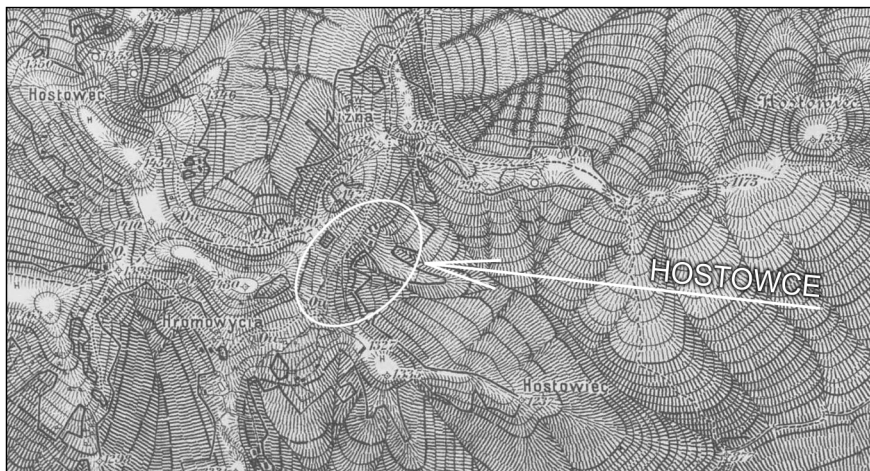
Jerzy Stempowski (lata 1930.)

Stempowskiego rozszyfrowują ten pseudonim jako nazwę potoku lub szczytu w Karpatach Wschodnich, w dorzeczu Czeremoszu.

To prawda, Hostowiec to potok wpadający do Białego Czeremoszu, mający swoje źródła pod rozpościerającymi się na grzbiecie Pniewia połoninami Ryzowatą i Hadżugi w paśmie Połonin Hryniawskich. To także opadający stromymi stokami w dolinę Białego Czeremoszu wierzchołek wysokości 1233 m, zamykający od wschodu masyw składający się z trzech połonin — Doszyny, Hostowca i Hromowicy z kulminacją 1480 m. Ale czy to na pewno cała prawda o tym pseudonimie? Jak do tej pory nikt jakoś nie zastanowił się, dlaczego eseista wybrał akurat ten toponim, a nie jakiś inny.

Uznanie, że sięgnął po pierwszą z brzegu nazwę, która mu się bardziej podobała od innych, byłoby jednak chyba poważnym nietaktem wobec Stempowskiego i niedocenieniem jego błyskotliwej inteligencji. Wszak wszystko, co robił i mówił, było zawsze głęboko przemyślane i skalkulowane. Z dużą dawką prawdopodobieństwa — jak sędzę — można więc założyć, że było tak też w wypadku wyboru pseudonimu.

Otóż w czasach, kiedy Stempowski wędrował po Huculszczyźnie, na wschodnich stokach Hromowicy, na wysokości około 1400 m istniała huculska osada, najdalszy przysiółek Hryniawy, którą nazywano Hostowce. W latach międzywojennych było to najwyżej położone i najdalej oddalone od siedzib ludzkich stale zamieszkane osiedle w Polsce. Czy nie tę właśnie sadybę, najgłębiej w Karpaty Wschodnie zanurzoną, najbardziej samotną z samotnych, miał na myśli Stempowski wybierając swój emigracyjny pseudonim literacki? Dowodów oczywiście nie mam, ale sędzę, że wiele za tym przemawia. To jednak tylko pierwsza, zewnętrzna warstwa znaczeń ukrytych w tej nazwie. Jest bowiem zapisane w niej coś więcej. Myślę, że pisarz miał tego pełną świadomość i że to właśnie zdecydowało o jego wyborze. Żeby te ukryte treści odnaleźć, trzeba sięgnąć do wiedzy językoznawców. Jan Janów w *Słowniku huculskim* pisze, że w gwarze huculskiej *hostyty* znaczy tyle, co „mieć powodzenie w podróży”, ale też „iść, udawać się dokądś”. Jako przykład użycia tego słowa



Hostowce na mapie austriackiej z końca XIX w.

podaje między innymi następujące zdanie: *A dokyw hostyte, gazdo, dokyw was Boh prowadyt?* A zatem *hostyty* to po prostu tyle, co wędrować, a Hostowice to wędrowca. Dodajmy, biorąc pod uwagę krajoznawczy kontekst — samotny wędrowca.

Czyż nie w poszukiwaniu samotności Pan Jerzy „mądrze wycofał się w góry”? Píše o tym wprost w *Zapiskach dla zjawy*¹, a Hostowce były idealnym wprost miejscem to wycofanie manifestującym. Miejscem niezmiętej samotności. Owej — jak pisze — *Bergeinsamkeit*, niezmiętej samotności Czywczyna, której na próżno poszukiwał później, już na emigracji, w pogórzach Alp Szwajcarskich.

* * *

Nawiązania do Huculszczyzny i Huculów pojawiają się w twórczości Jerzego Stempowskiego w różnych, często najmniej spodziewanych miejscach, choć ani góry, ani zamieszkujący je ludzie nigdy nie stali się wprost tematem jego eseju. Skończyło się jedynie na licznych planach, o których dowiadujemy się z jego obszernej korespondencji. Między innymi w liście do Micińskich z maja 1940 r. pisze o pomysłach pisania wspomnień, które miałyby się zawierać w trzydziestu rozdziałach, a jeden z nich miał być zatytułowany „Huculszczyzna”. Przy obecnym stanie wiedzy o spuściźnie literackiej Stempowskiego z dużą dozą prawdopodobieństwa możemy powiedzieć, że wspomnienia takie nie po-

¹ J. Stempowski: *Zapiski dla zjawy*, Warszawa 2004 (dalej: *Zapiski*).

wstały. Nie pozostało też wiele ze snutych z wielkim entuzjazmem w listach do Iwana Seńkowa planów wspólnych publikacji.

Zaczelibyśmy więc może od Kosmacza i Prokurawy, tak jak to było w rzeczywistości latem 1939. Do tej podróży napisałbym mały wstęp. Potem opisałbym naszą wizytę u staruchy z rodu Zwinków, która nie chodziła do cerkwi i nie brała udziału w obrzędach, i opisałbym lekko cerkiew w Prokurawie, którą oglądaliśmy następnego dnia.

Następnie głos zabralby Pan o tym, co Pan później sam znalazł w Prokurawie i o czym nic nie wiem, bo jużśmy się więcej nie widzieli².

Wspominając wędrówki z Seńkowem po Żabiem, Stempowski wskazywał także inne tematy warte opisu, na przykład żabiowski chram, życie religijne Huculów oraz ich zbiorową pamięć. Planowana wspólna publikacja na łamach „Kultury” nie doszła jednak do skutku. W dwa lata po śmierci Iwana Seńkowa, w 1995 r. ukazała się w Kijowie jego książka *Huculska spadszczyna*. Nazwisko Stempowskiego pojawia się w tej swoistej encyklopedii Huculszczyny tylko raz i to nie jako jej badacza czy znawcy, ale jako człowieka, któremu autor zawdzięcza swoje uniwersyteckie studia w Warszawie.

Z innych listów Pana Jerzego wiemy, że planował większą pracę „o starej cywilizacji rolniczej, której ślady widoczne są na Huculszczynie”. Miała ona kłaść nacisk na ważną cechę samowystarczalności pasterzy, dającą im całkowitą niezależność, i na rolę bezinteresownej obrzędowości będącej swoistą szkołą życia towarzyskiego i poczucia estetyki, a także na szlachetną rezerwę ludzi niezależnych. Ale i jej w spuściźnie literackiej naszego bohatera nie ma.

Spróbujmy sobie zatem poradzić inaczej i pozbierać skrupulatnie to, co o Huculszczynie napisał Stempowski niejako na marginesach lub przy okazji poruszania innych kwestii. Najpierw jednak wypada umiejscowić Huculszczynę w jego biografii, co wcale nie jest sprawą łatwą, jeśli wziąć pod uwagę fakt, że nie lubił on mówić, a tym bardziej pisać o sobie. Niektórzy biografowie przyjmują za coś zupełnie oczywistego, że Stempowski od dziecka wędrował po Czarnohorze, argumentując, że przecież urodził się i mieszkał na Ukrainie. Rzeczywiście z majątków Stempowskich w Szebutynicach czy Winnikowcach do Żabiego w linii prostej było zaledwie jakieś dwieście kilometrów, tyle że po pierwsze, po drodze była granica między imperiami Romanowów i Habsburgów, a po drugie krajoznawcze zainteresowania bogatych rodzin ziemiańskich środkowego Naddniestrza kierowały się raczej na południe, ku Morzu Czarnemu i Krymowi, nie zaś ku Worochcie. Sam Stempowski na początku 1940 r. pisze, że góry huculskie uważał przez dziesięć lat przeszło za swoją bliższą ojczyznę. A zatem możemy przyjąć, że jego romans z Karpatami Wschodnimi

² List do Iwana Seńkowa z 19 VIII 1951.

trwał gdzieś od około 1930 roku, był to więc późny romans, skoro pisarz zaczął po nich wędrować w wieku około 37 lat. Być może stało się to za sprawą Stanisława Vincenza, jak chce większość jego biografów, ale czy na pewno?

Wydaje się, że Stempowski nie był zbyt częstym gościem w domu Vincenzów w Bystrzcu. Co znamienne, z jego różnych tekstów Vincenz wyłania się przede wszystkim jako mieszkaniec Słobody, a nie wsi pod Czarnohorą. Nie ma też Stempowskiego na żadnym ze zdjęć z Bystrzca zachowanych w archiwum rodzinnym Vincenzów, zaś Irena Vincenzowa w liście do Stempowskiego wspomina go nie z własnego domu, lecz ze schroniska AZS na Pohorylcu i ze staj Matijka Zeleńczuka pod Stepancem. Czy wynikało to z potrzeby szukania w górach samotności, co wielokrotnie podkreślał, czy może ze złożonych relacji rodzinno-towarzyskich pomiędzy Słobodą Rungurską a Bystrzcem? Wszak jego związki z Leną, pierwszą żoną Stanisława Vincenza, datują się co najmniej od 1932 r. i były bardzo bliskie, o czym świadczy zachowana korespondencja. A może zwyczajnie, posiadająca jedynie trzy wymiary przestrzeni nie była w stanie pomieścić dwóch rozsadzających ją osobowości obok siebie, szczególnie że obaj kochali mówić i być słuchani? Faktem jest, że Stempowski wędrował po bliższych i dalszych okolicach Słobody, ale jak się wydaje, najchętniej po Połoninach Hryniawskich i Górach Czywczyńskich, najdalej na południe wysuniętej części Huculszczyzny — bardzo od Bystrzca odległej.

W liście do Adama Zielińskiego³ z lipca 1941 r. Stempowski pisze:

O pańskim znajomym spod Popa mogę Panu od razu coś opowiedzieć. Znałem go trochę tylko w kraju, jak wszyscy wędrowcy po Huculszczyźnie. Mój letni obóz tam znajdował się o 2 dni drogi na południe od Popa, w niezamieszkannej części gór, łatwiej dostępnej z Szykmanów, rzadko więc tylko bywałem w jego schronisku.

Ten znajomy Zielińskiego to Ludwik Ziemblic, kierownik wspomnianego wyżej schroniska warszawskiego AZS na Pohorylcu pod Pop Iwanem. Zatem letni obóz — czym on był, nie wiemy — do którego bliżej było z Szykmanów niż z Pohorylca, znajdował się pewnie gdzieś między Czywczynem, Palenicą i... Hostowcami. A może w Hostowcach właśnie?

Tu nie mogę sobie odmówić pewnej dygresji. Otóż odbiorca tego listu Adam Zieliński w 1933 r. we wstępie do *Krótkiego przewodnika po Huculszczyźnie* napisał między innymi takie zdanie: „Kto zaś pragnie zupełnego oderwania się od

³ Adam Kazimierz Zieliński (1902–1991), doktor prawa, dyplomata, narciarz, do wojny pracował w Wydziale Turystyki Ministerstwa Komunikacji. Był autorem folderów turystycznych i artykułów w czasopismach. Jego górskie fotografie wydawane były w formie pocztówek. We wrześniu 1939 r. przez Rumunię przedostał się do Francji, a po jej upadku znalazł się w Lizbonie. Pracował jako dziennikarz i tłumacz.

pomocy nowoczesnej kultury, kto zechce zdać się jedynie na własne siły, znajdzie po temu jedyną sposobność w cudownych ostępach Gór Czywczyńskich, tej najbardziej pierwotnej grupy górskiej w Rzeczypospolitej”. Nie wiem, czy Pan Jerzy znał ten przewodnik, ale sądzę, że pod tym zdaniem na pewno by się podpisał bez wahania.

Rzeczywiście, nieliczne wzmianki lokalizujące trasy wędrówek Stempowskiego odnoszą się do gór w rejonie źródeł obu Czeremoszów. Na przykład pod koniec lata 1935 i w sierpniu 1936 r. wędrował tam konno razem z Ludwiką Rettingerową-Wichuną. W *Zapiskach* wspomina o wspólnym słuchaniu szumu Czeremoszu podwojonego odbiciem drzew w Burkucie i Bałtagulu (*nota bene* w książkowym wydaniu przekręconego na Bałtogrod, pewnie z powodu błędnej lekcji rękopisu). Naprawdę pięknie o wędrówkach po wschodniokarpackich płajach napisze Pan Jerzy po latach, nawiązując do swoich nostalgicznych tęsknot w liście z 10 stycznia 1966 r. do Zygmunta Haupta:

Kiedy nachodzi mnie melancholia lub jakaś nudna choroba, zamykam oczy, wybieram sobie jakiś dobry płaj i idę nim w myśli powolutku, zatrzymując się na zakosach ścieżki, koło drzew i kęp trawy, które mogę sobie przypomnieć. Ostatnio z okazji zaburzeń nerwowo-mózgowych, poszedłem tak granią z Delatyna przez Rokietę aż do Kosmackiej Łysiny. Zależnie od ilości znaków zachowanych w pamięci podróż taka trwa dłużej lub krócej, czasami aż do 6 godzin. Kiedy otwieram oczy znów czuję się żwawy. Ciężar lat i klęsk spada mi z ramion. Moje ulubione wędrówki prowadzą z Burkutu przez Budyjowską i Czywczyn na Popadię albo przez Łukawicę i Babę Łudową do Szykmanów.

I tu też widzimy, że trasy jego ulubionych wędrówek prowadziły górami w rejonie najwyższych partii doliny Czarnego Czeremoszu, daleko od Bystrza.

Jak już powiedziałem, w esejach Stempowskiego Huculszczyzna pojawia się jedynie sporadycznie i to zawsze jako ilustracja ogólnych procesów społecznych i cywilizacyjnych lub jako argumentacja na rzecz tez znacznie ogólniejszych, można powiedzieć — globalnych. Już w 1935 r. w *Nowych marzeniach samotnego wędrowca* pisze, że „Homer zostawił nam najstarszy dla Europy opis cywilizacji pasterskiej, podobnej pod wielu względami do tej, jaką częściowo można dziś jeszcze oglądać na Huculszczyźnie”. Jednak o szczegółach tego podobieństwa ani słowa. Dalej wspomina o wielkim dorocznym odpuszczeniu na Huculszczyźnie, na którym obserwował „postawę uprzejmej i pogodnej rezerwy” Huculów wobec uroczystości religijnych. Niestety, w tym wypadku także nie rozwija tego ciekawego tematu. Tezę o dystansie Huculów do praktyk konfesyjnych oparł o obserwację konkretnych wydarzeń. Inną rzeczą jest adekwatność tej obserwacji. W opublikowanym kilka lat wcześniej w „Prze-

wodniku Katolickim”⁴ artykule zatytułowanym *O Huculach i Huculszczyźnie* anonimowy autor pisze, że ludność miejscowa po prostu oblega konfesjonały. Wydaje się, że ta druga konstatacja jest bliższa prawdy o życiu religijnym Huculów niż spostrzeżenia Stempowskiego, które utwierdzały go w przekonaniu o szlachetnej rezerwie ludzi niezależnych.

Ten esej z 1935 r. zawiera najwięcej huculskich odniesień. W rozważaniach o stosunku człowieka do zwierząt Stempowski wspomina niejako mimochodem, że gdzieś na Huculszczyźnie „zachował się, zapewne jako szczątek dawnego totemizmu, kult łasiczki, wiążący się z systemem zakazów (tabu), istniejącym dotychczas w jednej dolinie. Łasiczki, będące dziś w Polsce zwierzęciem rzadkim, są tam szanowane...”. Tu też nie podaje żadnych szczegółów, bo przecież nie one są przedmiotem jego rozważań.

Dużo huculskich akcentów znajdziemy także w powstałym wiele lat później eseju *O współczesnej formacji humanistycznej* opublikowanym w „Kulturze” z 1948 r. Huculszczyzna staje się w nim tłem do przemyśleń nad kondycją współczesnej cywilizacji. Rozwija tu, sygnalizowane już wcześniej, teorie o wychowaniu młodzieży:

Młodzież jest tam wcześniej wtajemniczana w życie dorosłych, w ich organizację społeczną, w obrzędy i tradycje, w rzemiosła i zabawy. Każdego roku w początku listopada młodzież tworzy niewielkie grupy, przygotowujące się do starożytnych obrzędów związanych z *solstitium hibernum*. Z pomocą wybranego mistrza ceremonii młodzieży uczą się tańców, śpiewów, manier, układają kuplety z aluzjami do aktualnych ewenementów towarzyskich. W okresie świątecznym grupy młodzieży będą kolejno gośćmi wszystkich gospodarzy, będą śpiewali i tańczyli we wszystkich chatach. Co komu można powiedzieć, aby było wesoło i nikt się nie obraził? Młodzieży górale dowiadują się o tym w 15–16 roku życia i dlatego czują się potem w towarzystwie znacznie swobodniej od doktorów filozofii.

Nie może być raczej wątpliwości, że Stempowski ma na myśli zwyczaj kołędowania, którego jednak chyba nie był bezpośrednim obserwatorem, a znał go tylko z opowieści. A dalej pisze o chrampie, uroczystości związanej z wezwaniem lokalnej cerkwi:

W dni poświęcone patronowi wsi mieszkańcy tworzą dokoła świątyni malownicze grupy. Stoją w odświętnych, barwnych strojach, z wstążkami na kapeluszach, obwieszeni mosiężnymi ozdobami, z fajkami w zębach i wyszywanymi kapciuchami z machorką na piersi. Nadprzyrodzone potęgi schodzą tego dnia unosząc się nisko nad głowami zebranych, jak w greckiej tragedii. W obliczu *mysterium tremendum* gmina stoi dumna i podniosła. W takie dni młodzież dowiaduje się o godności człowieka tego, co przy pewnym wysiłku wyobraźni wykształceni mogą przeczytać u Seneki.

⁴ *Przewodnik Katolicki* 1928, nr 32, s. 6–8.

Jak widać wychowanie huculskiej młodzieży bardzo go zaprzętało, zatem starał się zrozumieć i poznać jego istotę. Píše także o bezpośrednich, niejako spontanicznych kontaktach:

Przypadek zaprowadził mnie raz o zmroku do odludnej wsi górskiej, gdzie nie każdego roku widziano kogoś obcego. Zaledwie zsiadłem z konia na pobliskim wzgórzu, otoczyła mnie grupa chłopców grających z wielką wprawą i sztuką na fujarkach, niby *pifferari*, których słuchał Hektor Berlioz jako stypendysta *École de Rome*. Melodie tańców rytualnych i weselnych goniły jedna drugą. Koncert i manifestacje przyjaźni trwały przy ognisku do późna w noc. Starsi zdawali się być tego dnia nieobecni.

Dopiero nazajutrz, w dalszej drodze, uświadomiłem sobie, że chłopcy od pierwszego rzutu oka rozpoznali we mnie przyjaciela, oceniając trafnie, że niczym nie zrobią mi większej przyjemności, jak wydając na moją cześć *un concert champêtre*. Znacznie później dowiedziałem się o źródle tej przenikliwości. Wieś ta zamieszkała była przez przemysłników, którzy tego dnia byli na robocie. Chłopcy od bardzo młodego wieku brali udział w ekspedycjach granicznych, rozpoznając teren i ostrzegając o niebezpieczeństwie. Mimo kilkakrotnych spotkań — zawsze połączonych z koncertami — żaden z nich nie zdradził się, że był w nie raz zagranicą i zna wszystkie zwyczaje i chytrości gwardii finansowej. Wczesne wtajemniczenie w zawód przemysłnika nauczyło ich od razu trafnie oceniać intencje i charakter nieznanego przechodnia. Z ich ciemnymi, uważnymi oczami, z ich drobnymi, zręcznymi rękami, przypominali raczej dzieci dobrych wródek niż dzieci człowieka. Myślę o nich z wdzięcznością i smutkiem. Ich życzliwa, swobodna i wesoła postawa była szczerą i prawdziwą. W kilka lat później, podczas wojny i prześladowań, przeprowadzili przez granicę wielu uchodźców, tak samo bezinteresowni i życzliwi jak wówczas, kiedy grali nieznanemu na fujarkach. Wielu z nich zginęło w obozach koncentracyjnych, strzeżonych przez ich szkolonych rówieśników.

Nie wiem czy udałoby się zlokalizować tę wieś przemysłników. Pewnie mogła to być jedynie któraś z miejscowości w dolinie Białego Czeremoszu lub jej bezpośrednim sąsiedztwie, gdzie przemysł rzeczywiście miał miejsce na znacznej skale, zważywszy, że do pokonania była jedynie rzeka oddzielająca polską część wsi od rumuńskiej. Gdzie indziej przemysł nie był raczej procederem powszechnym, bo wymagał wielodniowych wędrówek po górach.

Pewną usterką pisarstwa Stempowskiego jest jego swoisty imperatyw hołstyczności. Dzięki swojej wszechogarniającej wiedzy dostrzega on związki i zależności, których normalny śmiertelnik nie potrafi zobaczyć. Jednak próba zapisania takiej perspektywy nie zawsze kończyła się najlepiej. Sądzę, że dobrym przykładem tej swoistej ułomności Pana Jerzego jest jego esej (bo przecież nie recenzja) zatytułowany *Na wysokiej połoninie*. Wydawałoby się, że musi on traktować o dziele Vincenza i o Huculszczyźnie. Niestety, nie ma tak łatwo. Czytelnik dowie się z niego mnóstwa różnych rzeczy, ale tego, o czym jest książka Vincenza, jakoś najmniej. Chwilami można odnieść wrażenie, że

eseista nie potrafił się skupić na jakimś konkretnym założonym temacie, ponieważ wcześniej czy później przysłały mu go narzucające się kulturowe i historyczne konteksty.

Wróćmy jednak na chwilę jeszcze do płajów. Zabawne jest to, że Tadeusz Nowakowski, wspominając Stempowskiego, pisze, że gdyby żył, to na pewno wytknąłby Hansowi Zbindenowi, że w książce *Polen einst und jetzt*, będącej rezultatem jego wizyt w Polsce w latach 1932, 1935 i 1939, pisze „o osiedlach Gotów na Huculszczyźnie i o śladach starożytnych ścieżek na karpackich grzbietach”. Otóż chyba myli się i to bardzo, bo wszak sam Stempowski pisał ze Słobody 27 sierpnia 1932 r. w liście do swojego ojca:

W tej wyższej strefie gór widać działalność Rzymian i ich sprzymierzonych tu wówczas narodów, które wcale nie schodziły w porośle lasem doliny, ale trzymały się tylko wzgórz nie zalesionych i wędrowały istniejącymi do dziś szlakami, biegnącymi po szczytach i omijającymi doliny. Taki szlak miejscami zrobiony widocznie ręką ludzką, trochę na wzór dróg rzymskich, nazywa się płaj, przy czym Huculi nazywają płaje idące na północ „dackimi”, a ze wschodu na zachód „gockimi”, zapewne na pamiątkę Daków i Gotów, których skądinąd nikt nie pamięta.

Wygląda na to, że obydwaj panowie, i Stempowski, i Zbinden, słuchali tej samej opowieści i gotów (nie Gotów!) jestem założyć się, że jej autorem był Stanisław Vincenz, bo w jego interpretacji nawet mity i legendy brzmiały przekonująco. Natomiast żaden z panów raczej nie czytał artykułu Piotra Kontnego w „Ilustrowanym Kurierze Codziennym” z 1936 r., który bezlitośnie wykpiwał bezkrytyczność naukowców poszukujących śladów gockich i dackich w Czarnohorze.

Swoją drogą naiwna i nawet trochę śmieszna wydaje się z dzisiejszej perspektywy ta wiara w tysiącletnią kulturę pasterską i jej wielopokoleniowe trwanie, kiedy praktycznie na naszych oczach zarastają lasami połoniny i nikt już nie pamięta nie tylko nazw płajów, ale także nazw gór, którymi one biegły. Trudno zatem uwierzyć, że mogła ona przetrwać trwające przecież setki lat wędrówki ludów. Pisząc, że nikt nie pamięta nazw płajów, jednak skłamałem. Pamiętają przecież ci, którzy czytali Vincenza, no i ci, którzy czytają „Płaj”. Więc jednak jakaś pamięć o tej pasterskiej dawności zostanie, choć na bieg dziejów raczej wpływu mieć nie będzie.

O głębokim, niepodrabialnym szepcie karpackich rzek pisze Stempowski wiele razy, a akapit o Czeremoszu i jego jedynym w swoim rodzaju szumie jest chyba najczęściej cytowanym tekstem Pana Jerzego. Swoją drogą, czy to nie dziwne, że biorąc pod uwagę niezwykle rozległość jego wiedzy, różnorodność i wagę poruszanych tematów ten właśnie cytat budzi tak powszechne zain-

interesowanie komentatorów jego twórczości? Zacytujmy go zatem, bo wart jest tego. Pod datą 17 listopada [1945] pisze Stempowski:

Największą siłę magiczną posiada Czeremosz, który spośród wszystkich rzek górskich sam jeden płynie w cieniu stuletnich jodeł i świerków. Wody jego pienia się wartko w kamiennym łożysku, szemrzą na żwirowych mieliznach, dzwonią po kamieniach, bełkocą w cieśninach, huczą i dudnią w skałach, a każdemu z tych tonów, opóźniając się z lekka, wtóruje niskie, ciemne, basowe echo puszczy. Zdaje mi się, że gdybym ociemniały, stary, trawiony gorączką i obłędem posłyszał znów ten szum, lata błędzenia po manowcach spadłyby ze mnie jak łachmany niedoli i stałbym się znów sobą.

Być może to emanująca z tych kilku zdań, fizycznie wprost odczuwalna, niezapokojona tęsknota tak wszystkich pociąga? Tęsknota człowieka, dla którego świat gadających wód Huculszczyzny jest już nieosiągalny, mało tego, człowieka przekonanego, że został on unicestwiony.

Większość cytujących ten fragment autorów czerpie go z opublikowanego w 1948 r. *Dziennika podróży do Austrii i Niemiec*, gdzie jest on opisem marzeń Stempowskiego snutych wśród ruin niemieckich miast w 1945 r., czyli pięć lat po ucieczce z Huculszczyzny przed sowiecką okupacją. Jednak motyw ten pojawia się znacznie wcześniej, bo już w styczniu 1940 r., prawie dokładnie w tym samym brzmieniu, w liście wysłanym do Bolesława Micińskiego, a także w *Zapiskach* pisanych pół roku później. Widać zatem, jak szybko pisarz zdał sobie sprawę ze straty, jaką poniósł zmuszony do emigracji, i jak wielkim przeżyciem było dla niego podjęcie tej decyzji.

Dlatego chciałbym się zająć bardziej szczegółowo ostatnim i jakże dramatycznym epizodem w obcowaniu Stempowskiego z Czarnohorą. Myślę tu o okresie od 17 września 1939 do przełomu stycznia i lutego 1940 r. Pierwszą jego część opisał z podziwu godną skrupulatnością Andrzej Ruszczak w artykule *Stanisława Vincenza i Jerzego Stempowskiego perypetie na granicy węgierskiej 1939–1940* zamieszczonym w „Płaju” nr 35. Przypomnę więc jedynie pokrótce najważniejsze fakty. W dzień po wkroczeniu w granice Polski oddziałów sowieckich, 18 września (a nie w październiku — jak piszą biografowie) Jerzy Stempowski wraz z Vincenzami — ojcem i synem oraz kapitanem Adamem Miłobędzkim, jadąc samochodem ze Słobody Rungurskiej, przekroczył granicę polsko-węgierską na Przełęczy Jabłonickiej. Vincenz zostawił w Bystrzcu żonę i dwójkę dzieci, Stempowski zaś w pensjonacie pierwszej żony Vincenza, Leny w Słobodzie ciężko chorą Wichunę. Wyruszyli, by rozpoznać sytuację, a przede wszystkim sprawdzić możliwość załatwienia wiz szwajcarskich dla swoich bliskich. Od początku planowali powrót i ewakuację wszystkich pozostawionych osób, w tym chorej Ludwiki Rettingerowej. W połowie

października Stempowski i Vincenzowie wrócili pod Czarnohorę i zatrzymali się w Borkut Kwasach⁵ w dolinie Czarnej Cisy.

Stanisław Vincenz pisze⁶, że stanęli w gospodzie węgierskiej, której właścicielką była pani R., wdowa po zmadziaryzowanym Żydzie. Utrzymywała ona dobre stosunki z władzami węgierskimi, sama uważając się za Węgierkę. Chodzi bez wątpienia o wspomniany przez czeskie przewodniki mieszczący się w tej miejscowości pensjonat Ethel Rosenthalowej, wdowy po zmarłym w 1927 r. Kolomanie Rosenthalu.



Borkut Kwasy, wrzesień 1925 r. Stoją od lewej: Irena Vincenzowa w towarzystwie Hucułów Michajła Prociuka i Petra Biłohołowego, rodzina Knollów, Jerzy Jarocki, Stanisław Vincenz i Tadeusz Wilczyński (fot. ze zbiorów T. Wilczyńskiego)

Być może Stanisław Vincenz znał ten pensjonat z wycieczki odbytej we wrześniu 1925 r., w trakcie której ze swoją żoną Ireną, botanikami Tadeuszem Wilczyńskim i Jerzym Jarockim oraz dwoma Hucułami z Bystrzcy, Michajłem Prociukiem i Petrem Biłohołowem, przewędrowali przez Czarnohorę „do Tate Knoll w Burkut-kwasy”. Świadectwem tej wyprawy jest wpis pozostawiony w Księdze Pamiątkowej Stacji Botanicznej na Pożyżewskiej, z którego

⁵ Niewielka miejscowość uzdrowiskowa w dolinie Czarnej Cisy, jak większość miejscowości w tym rejonie posiadająca wiele nazw, w zależności od tego, w jakim języku o niej mówiono: Tiszaborkút, Kvasy, Burkut nad Cisą, Borkut Kwasy. Dla uporządkowania narracji poza cytatami będę używał tej ostatniej.

⁶ S. Vincenz: *Dialogi z Sowietami*, Kraków 1991 (dalej: *Dialogi*).

zaczepnąłem cytowane sformułowanie. Sądzę, że fakt poznania przed laty szlaku przez Czarnohorę z Pożyżewskiej do Borkut Kwasów i z powrotem mógł zdecydować o wyborze tej miejscowości jako punktu wyjścia do operacji sprowadzenia bliskich. Vincenz w *Dialogach* zanotował, że gospoda była zaniedbana, a pokoje częściowo pozbawione szyb.

Trzeba pamiętać, że ten niewielki kurort powstał za czasów austro-węgierskich dzięki istniejącym tu źródłom mineralnym, a rozwinął się po wybudowaniu w 1894 r. linii kolejowej Stanisławów – Woronienka – Rachów i frekwentowany był przede wszystkim przez ówczesną klasę średnią, czyli galicyjskich Żydów. Prowadzony był przez trzy żydowskie rodziny — Knollów, Rozenthalów i Rosenheków. Po I wojnie światowej szybko podupadł, choć ogłoszenia pani Rosentalowej oferujące kąpiele mineralne pojawiały się w lwowskiej „Chwili” jeszcze w 1930 r.

Po latach Vincenz skonstatował, że poszukiwanie kontaktów z przemysłnikami za pośrednictwem pani R. było kiepskim pomysłem, pewnie ze względu na jej dobre relacje z władzami węgierskimi. Zatem przemysłników, na których pomoc liczyli przy realizacji swego przedsięwzięcia, w Borkut Kwasach raczej nie znaleźli. Ale znaleźć nie mogli przede wszystkim dlatego, że to małe uzdrowisko oddzielała od granicy rozległa i ludna Jasinia (Kőrösmező) z licznymi przysiółkami, z których na polską stronę grzbietu było o rzut kamieniem. Z Borkut Kwasów przez góry zaś do większej polskiej wsi, na przykład do Worochty, były dwa dni drogi. W archiwum vincenzowskim zachowały się obszerny list i kartka pocztowa wysłane do Hansa Zbindena z „hotel Rosental” 17 października 1939 r. Z listu wynika, że Vincenz i Stempowski mieli obmyślony wcześniej plan „ewakuowania swoich” z Galicji, na którego realizację potrzebowali około dwóch tygodni. Nie przewidywał on chyba jednak samodzielnego przekradania się przez granicę, lecz sprowadzenie „na raty” bliskich osób na stronę węgierską przy pomocy wynajętych do tego ludzi.

Patriarchę przemysłników i jednocześnie właściciela gospody Vincenz w swoich wspomnieniach lokalizuje w Łuhu (Bohdan Łuhy), miejscowości w dolinie Białej Cisy, do której „konspiratorzy” przyjechali autobusem 16 października wieczorem. Z Borkut Kwasów musieli zjechać jeden przystanek koleją w dół doliny, do Uścieraków (Tiszakoz) gdzie Biała Cisa łączy się z Czarną, i tam złapać jadący z Rachowa autobus, który w Łuhu kończył swoją trasę.

Właścicielem karczmy „Kamiela” w Łuhu był urodzony w 1870 r. w Delatynie Kamil Mechel. Był on nie tylko karczmarzem i kupcem, ale też właścicielem założonego w 1930 r. tartaku, w którym zatrudniał blisko 20 pracowników. W dodatku — jak podaje węgierska monografia z 1940 r. — był on ojcem dziesięciorga dzieci i wielkim węgierskim patriotą wyznania mojżeszowego.



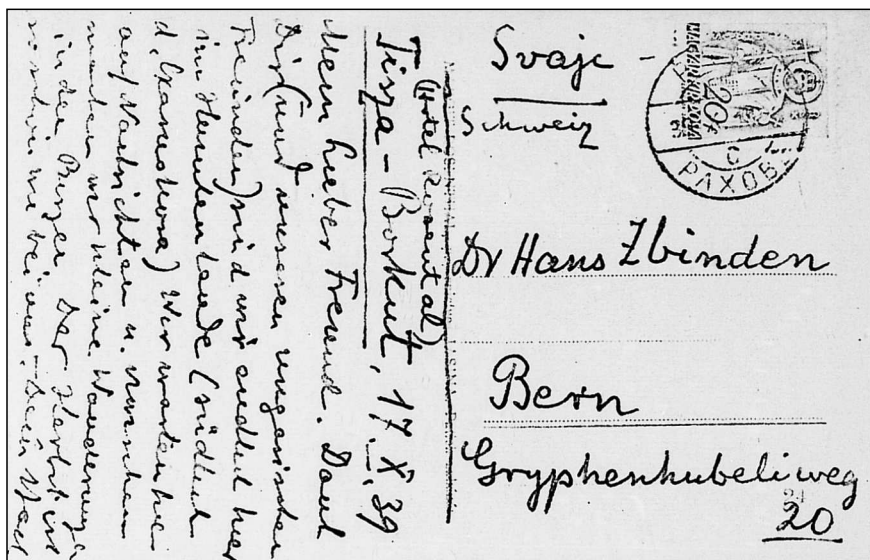
Węgierski autobus z Rachowa do Bogdanu

Jakoś mało ten wizerunek pasuje do „króla przemytników”. Zresztą przemysł przez Czarnohorę czy to z Borkut Kwasów, czy z Łuhu, byłby przedsięwzięciem mało opłacalnym, a wymagającym dużej ilości wolnego czasu i świetnej kondycji. Vincenz i Stempowski poszukiwali usilnie kogoś, kogo można by posłać przez granicę już nawet nie po to, żeby sprowadził osoby, na których im zależało, ale żeby chociaż przekazać im wiadomość. Niestety ani w Borkut Kwasach, ani w Łuhu nikogo nie znaleźli.

Za to z Łuhu było o tyle bliżej do domu Vincenza w Bystrzcu, że można się było pokusić o dotarcie tam w ciągu jednodniowej wyteżonej wędrówki, co z Borkut Kwasów było raczej niemożliwe. I właśnie z tej miejscowości Vincenz z synem wyruszyli do Bystrzcy, prowadzeni jednak nie przez jakiegoś przemytnika, ale przez zwykłą pasterkę Olenkę. Decyzja zapewne zapadła spontanicznie i była wynikiem desperacji spowodowanej rozsypaniem się w gruzy snutych wcześniej planów. Stało się to 20 października według Vincenza, a 19 października według Stempowskiego. Ten ostatni został w dolinie i z mostu na Białej Cisie obserwował początek wędrówki swoich przyjaciół, a potem — tak przynajmniej było ustalone z Vincenzem — wrócił do gospody w Borkut Kwasach.

Dlaczego Stempowski nie poszedł z Vincenzami? Zapewne zdawał sobie sprawę z tego, że gdyby wpadł w ręce NKWD, to choćby ze względu na swoją

współpracę z polskim wywiadem, rozszyfrowaną przez Sowietów już w czasie podpisywania traktatu ryskiego, na pewno z życiem by z Łubianki nie uszedł. Ale przede wszystkim ze względu na to, o czym pisze Stanisław Vincenz: „dla kontaktu z konsułami i przyjaciółmi za granicą”. Pewnie też po trosze ze względu na — dość zresztą naiwne — planowanie całej operacji ściągnięcia rodzin spod sowieckiej okupacji. W tych planach, które miały się zrealizować w ciągu kilku dni, miał on przygotować „miejsca dogodne do przeprawy”, a nawet oczekiwać na uciekinierów gdzieś w górach w ustalonym wcześniej terminie. Tylko nie wiadomo dokładnie, na czym owo przygotowanie miało polegać. Jakimś echem tego planu było zapewne zachowanie się Stempowskiego w następnych dniach. Niestety jego opisy pojawiające się w różnych tekstach, głównie w listach, są bardzo niejasne i często wprost ze sobą sprzeczne. Te sprzeczności owocują całą gamą alternatywnych scenariuszy pojawiających się w różnych pracach o Stempowskim. Najdalej posunęła się Magdalena Grochowska w skądinąd świetnym tekście w „Gazecie Wyborczej”. Według niej w chwili zatrzymania Vincenzów w Bystrzcu sowiecki patrol Stempowskiego po prostu nie zauważył, a ten ukrył się i wrócił na Węgry. Prawda jest jednak taka, że Stempowski wrócił do pensjonatu pani Rozentalowej w Borkut



Kartka pocztowa wysłana przez S. Vincenza 17 IX 1939 r. z hotelu Rosental w Borkut Kwasach do Hansa Zbindena (Archiwum S. Vincenza, Ossolineum)

Kwasach, właśnie „dla kontaktu”, bo ten adres podawany był w listach wysyłanych m.in. do Zbindena i tam mogła trafić odwrotna korespondencja.

Istniejące relacje o przebiegu dalszych wydarzeń są niejasne. Być może jest to następstwem jakiegoś psychicznego załamania, którego Stempowski doznał w wyniku traumatycznych przeżyć, albo wprost gorączkowych majaczeń, które wymieszały mu się z realnymi wydarzeniami. Prawdopodobnie po jednym lub dwóch dniach wrócił do Łuhu i wyruszył w góry — może na umówione spotkanie z Vincenzem? Wędrował wzdłuż czarnohorskiej granicy ze świadomością, że w Słobodzie umiera kobieta, którą kochał, którą leczył przez lata ze śmiertelnej choroby, i przy której go teraz nie było. Z jednej strony czekał na powrót Vincenza, bo tak się pewnie umówili, z drugiej prześladowała go myśl o tym, żeby pójść górami do Słobody, do Wichuny.

Wydaje się, że najbliższy prawdy jest najpóźniejszy opis tych wydarzeń, zawarty w liście do Zygmunta Haupta ze stycznia 1966 r., w którym Stempowski pisze:

Wyszedłem z karczmy „Kamiela” w Bohdan-Łuhy u źródeł Białej Cisy, wspiąłem się na Gutin Tomnatyk, nocowałem w niedźwiedzim barłogu, a potem wzdłuż południowego stoku Czarnohory i Pietrosa zszedłem na połoninę Szazul [Szesul] i lasem na Burkut-Kwasy nad Czarną Cisą. Pamiętam każdy szczegół tej drogi, ale trasa ta nie ma dla mnie leczniczych własności. Szedłem samotnie, głównie nocami przy pełni księżyca, walcząc z początkami zapalenia płuc, na które miałem chorować jeszcze przez trzy miesiące w Akna-Szlatina.

Kilka lat wcześniej w liście do ojca (z września 1945 r.) wspominał o tym, że chciał grzbietami przejść do Słobody, ale zrezygnował ze względu na ogarniającą go gorączkę — konsekwencję zapalenia płuc. Odległość do Słobody Stempowski ocenił na 120 km, choć w rzeczywistości to nie więcej niż połowa tego. Natomiast cała trasa, którą pokonał z Łuhu przez Gutin Tomnatyk do Borkut Kwasów wynosi około 35 km. Stempowski przeszedł ją w dwa i pół dnia i ocenił na ponad 70 km. Zszedł przez połoninę Szesul do Borkut Kwasów, jak pisze — do karczmy przemytników, ale wszystko wskazuje na to, że trafił jednak po prostu z powrotem do pani Rozentalowej, która jak wiemy, z przemytnikami nie miała zgoła nic wspólnego. Natomiast najpewniej to właśnie ona próbowała go leczyć, a nie widząc poprawy u chorego, spowodowała, że po kilku dniach ledwie żywego Stempowskiego lekarz okręgowy kazał przewieźć pociągiem na południe, do szpitala w Aknaszlatinie (Slatinské Doly, Sołotwyno), wybudowanego w czasach, gdy Zakarpacie było częścią Czecho-Słowacji, nie dla drwali, jak pisał Pan Jerzy, ale przede wszystkim dla górników z miejscowych kopalń soli. Był to najbliższy i jedyny szpital w całej okolicy.

Warto pamiętać, że w czasie gdy przyjmowano Stempowskiego do szpitala, co stało się 28 października 1939 r. — tak napisał w *Księgozbiórze przemysłników* — od ponad pół roku nie było tu już Czecho-Słowacji, tylko Węgry. Być może ten fakt miał wpływ na sam przebieg podróży. Otóż podróżowanie wybudowaną za czasów Habsburgów linią kolejową wiązało się po traktacie w Trianon (1920) z pewnymi niedogodnościami. Za Trebuszanami linia kolejowa przekraczała poprowadzoną wzdłuż Cisy nową granicę państwową, przechodząc na stronę Rumunii i do Czecho-Słowacji wracając dopiero na kilka kilometrów przed Tereszwą. Czesi z Rumunami mieli te sprawy uregulowane umowami i pociąg pospieszny z Pragi do Jasini bez przeszkód kursował na odcinku 50 km tranzytem (pod eskortą wojska), ale czy te umowy obowiązywały nadal po zajęciu Zakarpacia przez Węgry? Po wyjściu 2 stycznia ze szpitala w Aknaszlatinie, żeby wsiąść do pociągu jadącego pod Czarnohorę, Stempowski musiał dostać się na dworzec kolejowy w Syhocie Marmaroskim, a ten był za rumuńską granicą. Stąd pewnie podróż autobusem do najbliższej stacji dostępnej po węgierskiej stronie. Natomiast w Borkut Kwasach nie musiał się nigdzie przesiadać, ponieważ stacja kolejowa była w tej miejscowości.

Dlaczego wrócił w góry? Bał się emigracji, to pewne, zresztą wspomina o tym, ale też chyba naprawdę miał zamiar po powrocie do sił wrócić wiosną przez granicę do Słobody.

Wielu krytyków i komentatorów twórczości Pana Jerzego wydaje się traktować esej *Księgozbiór przemysłników* jako opis autentycznych wydarzeń. A to jednak — wprawdzie wysokiej próby i mocno osadzona w realiach — ale tylko literatura. Już Jerzy Timoszewicz w datowanej na rok 1983 nocie biograficznej⁷ pisze, powołując się na ten esej, że Stempowski spędził kilka miesięcy w Borkut Kwasach. Za nestorem stempowskologii błąd ten popełniają kolejne pokolenia badaczy. A wystarczy sięgnąć do zapisków Stempowskiego w odnalezionym po latach notesie, gdzie wyraźnie stoi — 2 stycznia [1940] wyjazd z Aknaszlatiny i przyjazd do Borkut Kwasów, a 18 stycznia wyjazd z Borkut Kwasów i przyjazd do Użhorodu [Ungvar]. Zatem jeśli tym zapiskom wierzyć, pobyt ich autora w Borkut Kwasach nie trwał kilka miesięcy, a zaledwie 16 dni. Trochę się wprawdzie z tym kłóci datowanie na 24 stycznia 1940 r. listu wysłanego z tej miejscowości do Bolesława Micińskiego. Ale nawet jeśli przyjmiemy tę drugą datę jako graniczną, to mamy trzy tygodnie, a nie całą zimę.

Dużo wyjaśnia ten właśnie list do Micińskiego. Stempowski pisze w nim:

⁷ J. Stempowski: *Szkice literackie*, Warszawa 1988.



Pensjonat Rosental II „Port Artur” w Borkut Kwasach, pocztówka z początku XX w.

Mieszkam tu w opuszczonym schronisku sam jeden. W moim pokoju stoi żelazny piecyk i wielki stos bukowego drzewa, który powoli spalam. Na obiad chodzę do karczmy w starym stylu.

W *Księgozbiorze przemytników* ten sam opis odnosi się do karczmy przemytników w Łuhu w dolinie Białej Cisy, którą rządził leciwy „król przemytników”, łudząco podobny do prezydenta Transwalu i przywódcy Burów Paula Krugera. A dalej w tym samym liście: „Dziś chętnie słuchałbym nawet pospolicie już płynącej pod moimi oknami Czarnej Cisy”. Czarnej, a nie Białej. Budowany dla letników i tylko w lecie funkcjonujący pensjonat w Borkut Kwasach, w dodatku mocno podupadły, z powybijanym oknami, do zamieszkania w styczniu się nie nadawał, dlatego umieszczono rekonwalescenta w budynku murowanym, a książki pozostały tu zapewne po zjeżdżających z różnych stron świata kuracjuszach. W czasach świetności ten maleńki kurort odwiedzało w sezonie podobno do 3 tysięcy kuracjuszy, a jeden z rozentalowych pensjonatów nosił dość oryginalną i trochę zagadkową nazwę „Port Artur”.

Niewątpliwie mamy u Stempowskiego do czynienia z jakąś tajemniczą fascynacją profesją przemytniczą i przemytnikami, których widzi on nawet tam, gdzie ich raczej nigdy nie było. Ale inna sprawa, że kto by ten esej przeczytał, gdyby był on zatytułowany na przykład *Księgozbiór wdowy Rozentalowej*?

Co ciekawe, pisze również Stempowski w wyżej wspomnianym liście, że musi zostać jeszcze dwa tygodnie i pójść w góry, aby uprzątnąć ślady swoich

przygód i przygotować spodziewane na wiosnę przyjście kilku przyjaciół. Nie wiemy, jakie ślady przygód sprzed ponad dwóch miesięcy miał na myśli, ale tak czy inaczej były to tylko nierealne marzenia. Pomysł wędrowania w styczniu po zasypanej śniegiem Czarnohorze, bez nart i po przebytej ciężkiej chorobie, nie świadczy dobrze o stanie jego umysłu. Zresztą trudno sobie wyobrazić, na czym miałyby polegać owe przygotowania do przejścia przyjaciół bez żadnej możliwości kontaktu z nimi. Ale skądinąd wiadomo, że 27 lutego Stempowski był już w Budapeszcie w szpitalu, po drodze spędziwszy jeszcze jakiś czas w Użhorodzie.

Odąd Huculszczyzna została już tylko w jego wspomnieniach.

* * *

Wędrowanie grzbietem Gór Czywczyńskich jest dziś dość traumatycznym przeżyciem, szczególnie gdy idzie się po ukraińskiej stronie granicy. Widoki są wprawdzie jedyne w swoim rodzaju i prawdę mówiąc żaden opis ich wyjątkowości nie jest w stanie oddać, ale sam szlak wędrowki jest niezmiernie przygnębiający. Idzie się bowiem pozostałością tak zwanej *sistemy*, szerokim na dziesiątki metrów pasem oskalpowanej ziemi biegnącym od stoków Hnitesy aż pod sam wierzchołek Stohu (fot. kolor. X). Osypująca się pod nogami, niezwiązana roślinnością ziemia potęguje natrętne uczucie poruszania się w krwawiącej szramie. To szalona ideologia kazała opętanym nią ludziom trwale okaleczyć te góry. Kiedyś, gdy po raz kolejny wędrowałem tak przez zeszczone *sistemą* wierchy, od Borszutyna i Ładeskula po Kierniczny, nie przypadkiem w rejonie Furatka naszła mnie gorzka myśl, że być może Stempowski miał jednak rację, kiedy pisał w 1962 r. do Seńkiwa:



W drodze na Furatki (fot. A. Wielocha)

Huculsczyzna jest dziś być może jak niegdyś piękna kobieta, której ślubowaliśmy miłość, lecz która straciła urodę i nawet pamięć, zmieniona do niepoznania przez straszną chorobę. Miłość, którą jej przyrzekaliśmy, jest wciąż żywa w naszej pamięci, ale przedmiotu jej już byśmy pewnie nie poznali.

I cztery lata później:

Huculsczyzna istnieje więc już tylko w naszej pamięci. Lasy są wyrabane (...), strojów nie ma, budynki częściowo rozebrane.

W tym przekonaniu o śmierci Huculsczyny nie był zresztą odosobniony. Wśród polskiej emigracji było ono, jak się wydaje, dość powszechne. Janina Kościalkowska wspominała⁸: „Wracaliśmy do rozmów o Huculsczyźnie jako do pewnego narkotyku, lecz tym razem mówiliśmy o niej jakby o zapadłej już Atlantydzie”. A Józef Wittlin w liście do Stefanii Zahorskiej pisał w styczniu 1956 r., że dzieło Stanisława Vincenza traktuje o wytępionym gatunku ludzi. Czy zatem nam, późnym wnukom pielgrzymującym do tej kochanki znanej przecież właściwie tylko z lektur, pozostały jedynie jej znikające, smętne resztki, którymi się delektujemy?

Ale zaraz jednak przyszła refleksja — przecież Stempowski poznał i pokochał te góry naznaczone świeżymi ranami pierwszej wojny. Wędrując po nich musiał potykać się o liszaje transzei i okopów, utykać w kolczastych zasiekach pozostałych po wielomiesięcznych walkach. Te ślady widoczne są jeszcze dziś, po ponad stu latach od ofensywy Brusilowa, a wówczas musiały dominować w krajobrazie. Natomiast lasy w dolinie Czeremoszu, które tak pięknie powtarzały jedyny w swoim rodzaju szum jego wody, były intensywnie wycinane już od co najmniej stu lat. A mimo to Stempowskiego Huculsczyzna zauroczyła i ta górską kraina była dla niego piękna i jedyna w swoim rodzaju, warta zakochania się na długo.

Czy zatem magia gór pozostaje w nich na zawsze, emanując nawet z tych oszpeconych „straszną chorobą” resztek, tylko po prostu trzeba bardzo chcieć ją w nich odnaleźć? Szukajmy jej więc, tylko... czy jeszcze potrafimy?

* * *

Pragnę w tym miejscu serdecznie podziękować Janowi A. Choroszewi za udostępnienie kopii korespondencji Stanisława Vincenza wysłanej z Borkut Kwosów do Hansa Zbindena, Iwonie Kesicki ze jej przetłumaczenie, a Leszkowi Rymarowiczowi za wskazanie dokumentów dotyczących rodziny Rosenthalów.

⁸ *Pan Jerzy. Śladami niespiesznego przechodnia. Wspomnienia i szkice o Jerzym Stempowskim*, Warszawa 2005, s. 143.



Widok z Pniewia na połoniny Doszyny, Hromowicy i Hostowca, fot. A. Wielocha



Widok z Pniewia na Karpaty Marmaroskie z Czywczynem w centrum, fot. A. Wielocha



Wędrowanie *sistemą* grzbietem Gór Czywczyńskich, fot. A. Wielocha



Przez wierzchołek Furatyka biegnie *sistema*, w głębi panorama Czarnohory, fot. A. Wielocha